

NICHOLAS
SPARKS

PAMIĘTNIK



Kim jestem? I jak, ciekawi mnie, skończy się ta opowieść?

Słońce już weszło i siedzę przy oknie zasnutym mgłą mijającego życia. Ładny dziś przedstawiam widok: dwie koszule, grube spodnie, szalik owinięty dwa razy wokół szyi, z końcami wepchniętymi pod gruby sweter wydziergany przed trzydziestu wiosnami przez moją córkę. Termostat w pokoju nastawiony jest na najwyższą temperaturę, tuż za mną stoi mniejszy grzejnik. Stęka, sapie i wypluwa z siebie gorące powietrze niczym jakiś baśniowy smok, a mimo to cały się trzęsę z zimna, które nigdy nie ustępuje, a zbierało się od osiemdziesięciu lat. Osiemdziesiąt lat – myślę czasami i, choć się z tym godzę, nadal mnie zdumiewa, że od prezydentury George'a Busha ani razu nie było mi ciepło. Zastanawiam się, czy wszyscy w moim wieku tak się czują.

Moje życie? Niełatwo je opisać. Nie okazało się tak wspa-
niałe, jak to sobie wymarzyłem, ale też nie skończyłem jako

chłopiec na posyłki. Podejrzewam, że można by je porównać do rynku obligacji: dość stabilne, więcej zysków niż strat, z czasem wykazujące tendencję zwykłą. Trafny zakup, szczęśliwy zakup, a przekonałem się, że nie każdy może to powiedzieć o swoim życiu. Lecz nie dajcie się zwieść. Nie jestem wyjątkowy, co do tego nie mam wątpliwości. Jestem zwyczajnym człowiekiem o zwyczajnych myślach i wiodłem zwyczajne życie. Nikt nie postawił pomnika ku mej czci, a moje imię szybko pójdzie w zapomnienie, lecz kochałem – całym sercem i duszą – a to, moim zdaniem, wystarczająco dużo.

Romantycy nazwaliby to opowieścią o miłości, cynicy – tragedią. Mnie się wydaje, że znajdzie się tu trochę jednego i drugiego, lecz niezależnie od punktu widzenia, który wybieriecie, historia ta obejmuje znaczną część mego życia i drogi, którą obrałem. Nie narzekam na tę drogę ani na to, dokąd mnie zawiiodła. Na inne rzeczy, owszem, skarg by się znalazło dosyć, ale moją ścieżkę zawsze uważałem za dobrą i szedłem nią bez wahania.

Niestety, z czasem coraz trudniej nią kroczyć. Prosta jest jak dawniej, lecz teraz pojawiły się na niej kamienie i żwir. Nazbierało się ich z biegiem czasu. Jeszcze trzy lata temu łatwo było je ignorować, ale nie teraz. Ciało niszczy choroba; nie jestem już ani silny, ani zdrowy, a moje dni przypominają egzystencję sflaczałego balona: pozbawione życia, gąbczaste, z dnia na dzień coraz bardziej miękkie.

Kaszlę, mrużę oczy i sprawdzam godzinę na zegarku.

Uświadamiam sobie, że pora ruszać. Wstaję z fotela pod oknem i człapię przez pokój, zatrzymując się przy biurku, żeby wziąć notatnik, który czytałem już setki razy. Nie przeliczam kartek, tylko wsuwam go pod pachę i dalej idę tam, dokąd muszę pójść.

Przemierzam posadzkę z białych płytek przyprószonych nieco szarością. Podobną do moich włosów i włosów większości mieszkańców tego domu, choć dziś rano tylko ja idę korytarzem. Reszta siedzi samotnie w pokojach, wyłącznie w towarzystwie telewizorów, ale oni, tak samo jak ja, do tego przywykli. Wystarczy człowiekowi dać dość czasu, a do wszystkiego przywyknie.

Z oddali dobiega mnie przytłumiony szloch i doskonale wiem, kto to płacze. Wtedy zauważają mnie pielęgniarki, uśmiechamy się do siebie, pozdrawiamy. To moje przyjaciółki i często gawędzimy, ale jestem przekonany, że nie pojmują ani mnie, ani tego, przez co codziennie przechodzę. Szepczą między sobą, kiedy je mijam.

– Znowu idzie – słyszę. – Mam nadzieję, że to się dobrze skończy.

Lecz nie mówią tego głośno. Zapewne uważają, że bolałyby mnie ta rozmowa o tak wczesnej porze, i – o ile siebie znam – mają rację.

Chwilę potem dochodzę do pokoju. Drzwi, jak zwykle, zostały uchylone. Siedzą tam dwie siostry, które również witają mnie uśmiechem.

– Dzień dobry – mówią pogodnie. Przystaję na chwilę, by zapytać o dzieci, szkołę i nadchodzące wakacje. Przez jakiś czas gawędzimy, nie zwracając uwagi na płacz. Pielęgniarki już do niego przywykły, zobojętniały. Ja zresztą też.

Potem zapadam się w fotelu, który tak do mnie przywykł, że dopasował się do mego ciała. Pielęgniarki już kończą; jest ubrana, ale nadał płacze. Wiem, że się uspokoi, gdy wyjdą. Poranne obrządki zawsze wytrącają ją z równowagi, a dzisiejszy ranek nie należy do wyjątków. W końcu pielęgniarki odsuwają parawan i opuszczają pokój. Obie muskają mnie z uśmiechem, przechodząc obok. Zastanawiam się, co to oznacza.

Siedzę przez moment, wpatrując się w nią, lecz ona nie odpowiada spojrzeniem. Rozumiem to, wszak nie wie, kim jestem. Uważa mnie za obcego. Potem opuszczam głowę i w duchu modlę się o siłę, której – wiem o tym – będę potrzebował. Zawsze głęboko wierzyłem w Boga i w potęgę modlitwy, choć – jeśli mam być szczery – moja wiara składa się z listy pytań, na które po śmierci z pewnością zażądam odpowiedzi.

No, już jestem gotowy. Okulary na nos, lupa z kieszeni. Na chwilę odkładam ją na stolik, żeby otworzyć notatnik. Dwukrotnie muszę polizać sękaty palec, zanim w końcu uda mi się odwrócić dobrze już zniszczoną okładkę i otworzyć na pierwszej stronie. Potem biorę do ręki lupę.

Zawsze na moment przedtem, nim zacznę czytać, serce mi się ściska i myślę: Co dziś się wydarzy?

Nie wiem, bo nigdy nie mogę tego przewidzieć, i w głębi ducha zdaję sobie sprawę, że to bez znaczenia. Sił dodaje mi liczenie na szansę, nie pewność, lecz swego rodzaju zakład z samym sobą. I choć możecie nazwać mnie marzycielem albo głupcem, czy jeszcze kimś innym, wierzę, że wszystko się może zdarzyć.

Rozumiem, że fakty i nauka sprzysięgły się przeciwko mnie. Lecz nauka nie stanowi odpowiedzi na wszystko; to wiem, nauczyłem się tego w swym długim życiu. I dzięki temu zostaje mi wiara, że cuda – nawet najbardziej niewytłumaczalne i niewiarygodne – istnieją i zdarzają się, kpiąc sobie z naturalnego porządku rzeczy. Dlatego po raz kolejny, tak jak to czynię co dzień, zaczynam czytać jej na głos notatnik – w nadziei, że cud, który zmienił me życie, zdarzy się kolejny raz.

I może – powtarzam: może – tak się stanie.

Był rok 1946, początek października, i Noah Calhoun z ganku swojego domu w stylu kolonialnym oglądał zachodzące słońce. Lubił przesiadywać tu wieczorami, zwłaszcza po dniu ciężkiej pracy, i pozwalać myślom błądzić, nie narzucając im określonego kierunku. Właśnie tak odpoczywał – zwyczaj ten przejął po ojcu.

Najbardziej lubił patrzeć na drzewa i ich odbicie w rzece. W Karolinie Północnej drzewa pięknie wyglądają późną jesienią: mienia się wszystkimi odcieniami zieleni, żółci, złota i czerwieni. Ich niesamowite kolory płoną w słońcu i chyba już po raz setny Noah Calhoun zastanawiał się, czy pierwsi właściciele rezydencji spędzali wieczory, myśląc o tym samym.

Dom postawiono w 1772 roku, stanowił jeden z najstarszych i największych budynków w New Bern. Początkowo był rezydencją właścicieli plantacji. Noah Calhoun kupił go tuż po zakończeniu wojny, poświęciwszy jedenaście mie-

sięcy i małą fortunę na jego renowację. Parę tygodni temu pewien dziennikarz z Raleigh napisał o nim artykuł; twierdził, że to jeden z najwspanialej odbudowanych majątków, jakie widział. Przynajmniej budynek. Reszta posiadłości to zupełnie co innego i właśnie na pracy nad nią Noah spędzał większość dnia.

Dwunastoakrowy majątek z jednej strony oblewały wody Brices Creek i Noah naprawiał drewniany płot otaczający posiadłość z pozostałych trzech boków, sprawdzając, czy nie jest spróchniały albo naruszony przez termyty, i w razie potrzeby wymieniając deski. Zostało mu jeszcze sporo roboty, zwłaszcza na zachodniej granicy, i dziś, odkładając narzędzia, pomyślał, że trzeba będzie zamówić więcej drewna. Wszedł do domu, wypił szklankę słodkiej herbaty, potem wziął prysznic. Zawsze się mył pod koniec dnia; woda spłukiwała z niego brud i zmęczenie.

Potem gładko zaczesał włosy, włożył spłowiałe dżinsy i niebieską koszulę, nalał sobie kolejną porcję słodkiej herbaty i udał się na ganek, gdzie teraz siedział, jak zwykle o tej porze dnia.

Wyciągnął ręce nad głową, opuścił je, po czym kilka razy ruszył barkami. Czuł się dobrze, czysto, świeżo. Zmęczone mięśnie dawały o sobie znać i wiedział, że jutro będzie trochę obolały, ale cieszył się, że zrobił większość tego, co sobie zaplanował.

Sięgnął po gitarę, co przypomniało mu o ojcu i kolejny

raz uświadomiło, jak bardzo mu go brak. Przeciągnął palcami po strunach, dostroił dwie i znowu sprawdził. Tym razem instrument brzmiał prawie tak, jak trzeba. Noah zaczął grać. Cicho, spokojnie. Najpierw nucił, potem, gdy otoczył go zmierzch, zaśpiewał. Grał i śpiewał, dopóki słońce nie zniknęło, a niebo nie poczerniało.

Skończył trochę po siódmej i oparł się wygodniej w fotelu, żeby się pobujać. Z przyzwyczajenia zerknął w górę i zobaczył Oriona, Wielką Niedźwiedzicę, konstelację Bliźniąt i Gwiazdę Polarną, migoczące na jesiennym niebie.

W myślach zaczął obliczać stan swoich finansów, ale po chwili dał spokój. Wiedział, że wydał na dom prawie wszystkie oszczędności i już wkrótce będzie musiał znowu się rozzejrzeć za pracą, lecz odepchnął tę myśl i postanowił się rozkoszować ostatnimi miesiącami renowacji, nie zatruwając ich martwieniem się o jutro. Nie wątpił, że wszystko się jakoś ułoży. Zawsze się układało. Poza tym myślenie o pieniądzach go nudziło. Już dawno nauczył się radować prostymi rzeczami – rzeczami, których nie można kupić – i nie był w stanie zrozumieć ludzi, którzy tego nie potrafią. To kolejny zwyczaj odziedziczony po ojcu.

W tej samej chwili podeszła do niego Clem, jego suka myśliwska, i szturchnęła go w rękę wilgotnym nosem, zanim umościła się u jego nóg.

– Cześć, malutka, co tam słyhać? – spytał, pogładziwszy ją po łbie.

Zapisała cicho i podniosła ku niemu łagodne, okrągłe ślepie.

W wypadku samochodowym straciła łapę, ale nadal sprawnie się poruszała i dotrzymywała mu towarzystwa w spokojne wieczory, takie jak ten.

Noah miał trzydzieści jeden lat – nie tak znów wiele, ale był na tyle dojrzały, by czuć się samotny. Odkąd tu się sprowadził, nie umawiał się z dziewczynami, nie spotkał żadnej, która choć odrobinę by go zainteresowała. Wiedział, że to wyłącznie jego wina. Było w nim coś, co sprawiało, że utrzymywał dystans między sobą a kobietą, która próbowała się do niego zbliżyć. I chyba nawet nie potrafiłby tego zmienić, choćby i próbował. Ale czasem, tuż przed zapadnięciem w sen, zastanawiał się, czy na zawsze ma pozostać samotny.

Wieczór płynął dalej, ciepły, przyjemny. Wsłuchany w muzykę świerszczy i szelest liści Noah myślał, że odgłosy natury są bardziej rzeczywiste i budzą więcej uczuć niż przedmioty, takie jak samochody czy samoloty. Natura dawała więcej, niż brała, a jej dźwięki zawsze uświadamiały człowiekowi, kim powinien być. W czasie wojny wielokrotnie, zwłaszcza po większych przeżyciach, wracał myślą do tych prostych odgłosów.

– Dzięki temu nie oszalejesz – powiedział ojciec na pożegnanie, gdy Noah odpływał. – To muzyka Boga, która przeniesie cię do domu.

Dopił herbatę, wszedł do środka, znalazł książkę i w drodze powrotnej zapalił światło na ganku. Usiadłszy w fotelu, spojrzął na tomik. Był stary, okładka miała wystrzępione brzegi, a strony poplamiało błoto i woda. *Żdźbła trawy* Walta Whitmana. Towarzyszyły mu w czasie wojny, kiedyś nawet przyjęły wycelowaną w niego kulę.

Przetarł z kurzu okładkę. Potem otworzył książkę w przypadkowym miejscu i przeczytał słowa, które przed sobą zobaczył:

*Północ widna – to godzina twoja, o duszo,
wolny twój lot w niewymowne.
W oderwaniu od ksiąg, ze sztukami w rozbracie,
po dniu wypełnionym, dokonawszy roboty,
Unosząca się całkowicie i w oddal ostatnią,
milcząca, zdumiona, zadumana o tym,
co miłujesz najbardziej:
Noc, sen, gwiazdy i śmierć*.*

Uśmiechnął się do siebie. Nie wiedział czemu, lecz Whitman zawsze kojarzył mu się z New Bern i Noah cieszył się, że wrócił. Choć nie było go tu przez czternaście lat, uważał je za swój dom, znał tu mnóstwo ludzi, większość jeszcze z czasów młodości. Nic dziwnego. Wszak mieszkańcy

*Walt Whitman: *Północ widna*, przeł. Stefan Napiórski.

południowych miasteczek nigdy się nie zmieniali, najwyżej odrobinę starzeli.

Teraz jego najlepszym przyjacielem był Gus, siedemdziesięcioletni Murzyn mieszkający w pobliżu. Spotkali się parę tygodni po tym, jak Noah kupił dom – Gus zjawił się z domową nalewką i gulaszem z królika; spędzili wieczór, upijając się i opowiadając sobie swe dzieje.

Od tamtej pory Gus odwiedzał go kilka razy w tygodniu, zazwyczaj po ósmej. Od czasu do czasu musiał się wyrwać z domu, w którym mieszkało czworo jego dzieci i jedenaścioro wnucząt, i Noah doskonale go rozumiał. Zwykle Gus przynosił harmonijkę ustną i pogawędziwszy, grali razem parę piosenek. Zdarzało się, że muzykowali tak godzinami.

Gus zastępował Noahowi rodzinę. Właściwie nikogo poza nim już nie miał, a przynajmniej od śmierci ojca przed rokiem. Noah był jedynakiem – matka zmarła na gripę, gdy miał dwa lata – i choć kiedyś chciał się ożenić, nigdy tego nie zrobił.

Ale raz się zakochał, to wiedział na pewno. Jeden, jedyny raz, dawno temu. I to uczucie przemieniło go na zawsze. Prawdziwa miłość potrafi to zrobić z człowiekiem, a jego miłość była prawdziwa.

Nadciągnęły chmury znad wybrzeża, srebrząc się w poświęceniu księżycy. Gdy zgęstniały, odchylił głowę, kładąc ją na oparciu bujanego fotela. Automatycznie odpychał się nogami, fotel kołysał się rytmicznie, a myśli, jak niemal co wieczór,

popłynęły ku wspomnieniu podobnego ciepłego zmierzchu sprzed czternastu lat.

To było tuż po maturze w 1932 roku, pierwszy wieczór jarmarku. Wszyscy mieszkańcy miasta wylegli na ulice, bawiąc się na barbakojach albo oddając się grom hazardowym. W powietrzu wisiała wilgoć – z jakiegoś powodu doskonale to zapamiętał. Przyszedł sam i kiedy przedzierał się przez tłum w poszukiwaniu przyjaciół, wypatrzył Fina i Sarę, z którymi dorastał, rozmawiających z jakąś nieznajomą dziewczyną. Pamiętał, że pomyślał: Ładna, a gdy w końcu do nich dotarł, spojrzała na niego zamglonymi oczami, które potem ciągle do niego wracały.

– Cześć – odezwała się zwyczajnie, podając mu rękę. – Finley wiele mi o tobie opowiadał.

Zwyczajny początek, coś, co łatwo byłoby zapomnieć, gdyby dotyczyło nie jej, lecz kogoś innego. Ledwo jednak ujął jej rękę i zajrzał w te niesamowite, szmaragdowe oczy, nim jeszcze zaczerpnął tchu, wiedział z całą pewnością, że oto dziewczyna, której mógłby szukać przez resztę życia i nigdy już nie znaleźć. Wydawała mu się tak wspaniała, tak idealna – a letni wiatr szumiał w gałęziach drzew.

Od tamtej chwili wszystko poszło jak burza. Fin powiedział Noahowi, że dziewczyna przyjechała z rodziną do New Bern na wakacje, bo ojciec pracował u R.J. Reynoldsa, a choć Noah tylko kiwał głową, jej spojrzenie sprawiało, że to milczenie wydawało się normalne. Wtedy Fin parsknął

śmiechem, bo widział, co się święci, a Sara zaproponowała, żeby kupili sobie wiśniowej coli, po czym cała czwórka się bawiła, dopóki tłumy nie zrzędyły i nie pozamykano straganów.

Spotkali się następnego dnia i kolejnego, a wkrótce stali się nierozłączni. Co rano, z wyjątkiem niedzieli, kiedy musiał iść do kościoła, w zawrotnym tempie robił wszystko, co do niego należało, a potem ruszał prosto do Fort Totten Park, gdzie czekała na niego ona. Ponieważ była gościem i nigdy przedtem nie spędzała wakacji w miasteczku, dni wypełniały im zajęcia zupełnie jej nieznane. Nauczył ją, jak nakładać przynętę i łowić okoniopstrągi na płycznach, zabierał na wyprawy w gęstwiny Croatan Forest. Pływali łodzią, oglądali letnie burze i Noahowi wydawało się, że znają się od zawsze.

Ale i on się czegoś uczył. Na potańcówce w remizie to ona pokazała mu, jak się tańczy walca i charlestona, a choć przez pierwsze kilka utworów deptali sobie po palcach, jej cierpliwość wkrótce została wynagrodzona i tańczyli razem do końca zabawy. Potem odprowadził ją do domu, a gdy pożegnawszy się, stali na ganku, pierwszy raz ją pocałował, zastanawiając się, czemu tak długo zwlekał. Któregoś dnia zaprosił ją do tego domu, nie zważając na jego opłakany stan, i zapowiedział, że kiedyś go kupi i wyremontuje.

Godzinami rozmawiali o swoich marzeniach – on pragnął zwiedzić świat, ona zostać malarką – aż wreszcie pew-

nej parnej sierpniowej nocy oboje stracili dziewictwo. Kiedy wyjechała trzy tygodnie później, zabrała ze sobą częśćkę Noaha i resztę lata. W deszczowy poranek odprowadzał ją wzrokiem, gdy opuszczała miasto. Poprzedniej nocy nie zmrużył oka, a potem wrócił do domu i spakował torbę. Następny tydzień spędził samotnie na Harkers Island.

Noah przecesał ręką włosy i zerknął na zegarek. Dwanaście po ósmej. Wstał i wyszedł przed dom, spoglądając na drogę. Ani śladu Gusa, pewnie dziś się nie zjawi. Wrócił na ganek i usiadł w fotelu.

Pamiętał, jak pierwszy raz wspominał o niej Gusowi. Stary pokręcił głową i zaczął się śmiać.

– Więc przed tym duchem uciekasz. Kiedy spytał, co Gus ma na myśli, Murzyn odparł:

– No, rozumiesz: duch, wspomnienie. Patrzyłem, jak harujesz dzień i noc, tyrasz bez wytchnienia. Ludzie robią to z trzech powodów: albo postradali rozum, albo są głupi, albo próbują zapomnieć. Wiedziałem, że w twoim wypadku chodziło o to ostatnie. Zastanawiałem się tylko, o czym chcesz zapomnieć.

Zastanowił się nad słowami Gusa. Oczywiście przyjaciel miał rację. New Bern stało się dla niego miejscem nawiedzonym. Nawiedzonym przez ducha wspomnień. Wystarczyło, że przeszedł przez Fort Totten Park, a widział ją tam: jak czeka na ławce albo stoi przy wejściu – zawsze uśmiechnięta, blond włosy miękko opadające na ramiona, szmaragdowe

oczy. A gdy wieczorem siadał na ganku z gitarą, widział ją przy sobie, jak w ciszy słucha muzyki jego dzieciństwa.

To samo się powtarzało, ilekroć zajrzał do drogerii Gastona, kina Masonic, a nawet gdy szedł przez miasto. Gdziekolwiek spojrzeł, dostrzegał jej obraz lub rzeczy, które znowu przywoływały ją do życia.

Zdawał sobie sprawę, że to dziwaczne. W końcu dorastał w New Bern. Spędził tu pierwsze siedemnaście lat życia. Gdy jednak myślał o rodzinnym mieście, pamiętał tylko ostatnie lato, wspólnie spędzone lato. Pozostałe wspomnienia stanowiły jedynie szczątki, urywki z dzieciństwa, które rzadko kiedy wzbudzały w nim jakieś uczucia – o ile w ogóle wzbudzały.

Któręś wieczoru zwierzył się z tego Gusowi, a ten nie tylko zrozumiał, ale nawet mu to wyjaśnił.

– Tata mawiał, że kiedy człowiek pierwszy raz się zakochuje, jego życie nieodwracalnie się zmienia i choćby nie wiedzieć jak się próbowało, to uczucie nigdy nie zniknie. Ta dziewczyna, o której opowiadasz, była twoją pierwszą miłością. I cokolwiek byś zrobił, zostanie z tobą. Na zawsze.

Noah potrząsnął głową, a gdy obraz dziewczyny zniknął, wrócił do Whitmana. Czytał przez godzinę, od czasu do czasu podnosił wzrok, przyglądając się szopom i oposom przemykającym nad odnogą rzeki. O wpół do dziesiątej zamknął książkę, poszedł do sypialni na górze i opisał dzień w pamiętniku, umieszczając w nim zarówno osobiste roz-

ważania, jak i relację z domowych zajęć. Czterdzieści minut później spał. Clem wdrapała się na górę, obwąchała śpiącego mężczyznę, pokręciła się i zwinęła w kłębek u stóp łóżka.



Nieco wcześniej tego samego wieczoru, sto mil od Noaha, ona kołysała się na huśtawce na ganku domu rodziców. Siedzenie było odrobinę wilgotne po ulewnym, siekącym deszczu, ale niebo się przecierało i przez pojedyncze chmury spoglądała ku gwiazdom, zastanawiając się, czy podjęła właściwą decyzję. Zmagą się z nią od kilku dni – i dziś wieczorem stoczyła ze sobą kolejną walkę – w końcu jednak uznała, że nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby wypuściła z rąk okazję.

Lon nie znał prawdziwego powodu jej jutrzejszego wyjazdu. W ubiegłym tygodniu wspomniała mimochodem, że może wyskoczy na wybrzeże zajrzeć do sklepów ze starociami.

– Tylko na parę dni – wyjaśniła. – Poza tym muszę się oderwać od tych przygotowań weselnych.

Źle się czuła, kłamiąc, ale nie mogła mu wyznać prawdy. Ten wyjazd nie miał z nim nic wspólnego i postąpiłaby nieuczciwie, żądając od Lona, by to zrozumiał.

Po zaledwie dwugodzinnej podróży z Raleigh, stolicy stanu, tuż przed jedenastą znalazła się na miejscu. Wynajęła pokój w małej gospodzie, rozpakowała walizki, powiesiła

w szafie sukienki, resztę rzeczy pochowała do szuflad. Zjadła szybko lunch, spytała kelnerkę, gdzie znajdzie najbliższe sklepy z antykami, i przez następne kilka godzin robiła zakupy. O wpół do piątej wróciła do pokoju.

Siadła na skraju łóżka, wzięła słuchawkę i zadzwoniła do Lona. Nie mógł długo rozmawiać, bo spieszył się do sądu, ale zanim się rozłączyli, podała mu numer telefonu gospody i obiecała, że zadzwoni jutro.

Dobrze – pomyślała, odkładając słuchawkę. Zwykła rozmowa, nic nadzwyczajnego. Nic, co wzbudziłoby w nim podejrzenia.

Lona знаła już od czterech lat. Poznali się w 1942, kiedy świat od dawna był pogrążony w wojnie, a Ameryka dopiero od roku. Każdy starał się spełnić patriotyczny obowiązek, więc i ona zgłosiła się jako ochotniczka do szpitala w mieście. Potrzebowano jej tam i ceniono za pracę, ale zadanie okazało się trudniejsze, niż początkowo sądziła. Do domów wróciły pierwsze grupy rannych młodych żołnierzy i całe dnie spędzała wśród przygnębionych mężczyzn i poszarpanych ciał. Gdy w jej życiu pojawił się Lon, który ze swym naturalnym wdziękiem przedstawił się na jakimś przyjęciu bożonarodzeniowym, zobaczyła w nim człowieka, którego właśnie potrzebowała: kogoś, kto z ufnością spogląda w przyszłość i ma poczucie humoru rozprasające wszystkie jej lęki.

Przystojny, inteligentny i ambitny, osiem lat od niej

starszy, prowadził udaną praktykę adwokacką. Namiętnie oddawał się pracy, wygrywając sprawy i jednocześnie zyskując sławę. Doskonale rozumiała to jego pragnienie sukcesu, gdyż zarówno ojciec, jak i większość mężczyzn z kręgów, w których się obracała, byli stworzeni na ten sam obraz i podobieństwo. Lona także wychowano w podobny sposób, w zamkniętym środowisku południowców, gdzie nazwisko i osiągnięcia często stanowiły najważniejsze kryterium brane pod uwagę przy zawieraniu małżeństwa. W niektórych wypadkach stanowiły wręcz jedyne kryterium.

Choć już od dzieciństwa buntowała się w duchu przeciw takim regułom i spotykała z mężczyznami, których najłagodniej dawało się określić mianem niespokojnych duchów, pociągała ją lekkość i swoboda Lona. Po pewnym czasie go pokochała. Choć pracował całymi dniami, okazywał jej dobroć. Był prawdziwym dżentelmenem: dojrzałym i odpowiedzialnym, a w tych okropnych dniach wojny, gdy potrzebowała kogoś, kto by się nią opiekował, nigdy jej nie zawiódł. Czuła się przy nim bezpieczna i wiedziała, że on też ją kocha, dlatego przyjęła jego oświadczenie.

Kiedy o tym myślała, ogarniało ją poczucie winy, że tu się znalazła; wiedziała, że powinna się spakować i wyjechać. Już raz to zrobiła – dawno temu – i była pewna, że gdyby teraz opuściła miasto, nigdy nie zebrałaby dość sił, by znowu tu wrócić. Wzięła torebkę i już ruszała do drzwi, kiedy sobie przypomniała, jaki to zbieg okoliczności ją tu przywiódł.

Odłożyła torebkę, po raz kolejny sobie uświadamiając, że jeśli w tym momencie wyjedzie, do końca życia będzie się zastanawiać, co by było, gdyby... I chyba nie potrafiłaby żyć z tą świadomością.

Przeszła do łazienki przygotować sobie kąpiel. Sprawdziwszy temperaturę wody, wróciła do komódki, równocześnie wyjmując z uszu złote kolczyki. Sięgnęła po kosmetyczkę, otworzyła ją, wzięła maszynkę do golenia i kostkę mydła, a potem rozebrała się przed toaletką.

Już jako nastolatkę nazywaną ją piękną. Naga przyjrzała się sobie w lustrze. Ciało miała jędrne, proporcjonalne, pierśi krągłe, brzuch płaski, a nogi smukłe. Po matce odziedziczyła wysokie kości policzkowe, gładką skórę i jasne włosy, lecz największy atut stanowił jej wyłączną własność: „oczy niczym fale oceanu”, jak je nazywał Lon.

Z maszynką i mydłem w ręku przeszła do łazienki, zakręciła kran, położyła ręcznik w pobliżu, by móc po niego sięgnąć, i wyciągnęła się w wannie.

Woda ją odprężyła, więc głębiej się w niej zanurzyła. Miała za sobą ciężki dzień, plecy ją bolały, ale cieszyła się, że tak szybko uporała się z zakupami. Musi wrócić do Raleigh z namacalnymi dowodami i dwie rzeczy, które wybrała, wystarczą za alibi. Przypomniała sobie, że powinna zapytać o inne sklepy w okolicach Beaufort, ale nagle pomyślała, że chyba nie musi się tak asekurować. Lon nie należał do ludzi skłonnych do szpiegowania.